„W małym dworku."

Sztuka w 3 akt. Stanisława Witkiewicza. Garść wrażeń.

Ujrzeliśmy na scenie naszej sztukę bardzo dziwną, pełną sprzeczności i załamań, w której życie, zdarzenia, dusze i uczucia ludzkie odbijają niemal potwornie jak w wklęsłem zwierciadle. — Oddawna też zapewnie, nasi bywalcy teatralni nie czuli się tak jakoś zaskoczeni, skonsternowani, niepewni własnych wrażeń.

I oddawna nie słyszało się również tak różnorodnych i krańcowo-sprzecznych sądów o sztuce. Jedni, (tych co prawda było bardzo niewielu) — twierdzili, że utwór to wielkiej wartości, wysoce artystyczny, głęboki, nieomal genialny, ale na czem ta „genjalność" polega, nie chcieli, czy też nie umieli bliżej wyjaśnić, ograniczając się do takich tylko ogólników, że jestto „karykatura życia". Przeważająca jednak większość publiczności — wzruszała poprostu ramionami i szeptała po kątach, że mamy chyba do czynienia z jakiemś chorobliwem majaczeniem, że utwór to bez żadnego sensu, urągający zarówno wymaganiom logiki, jak i wszelkim „obowiązującym zazwyczaj dla sztuki dramatycznej przepisom i kanonom artystycznym".

Przyznaję, że ta właśnie krańcowa rozbieżność sądów, wpłynęła na mnie aby pójść na następne przedstawienie — (na premjerze być nie mogłam) — i bezpośrednio zapoznać się ze sztuką tak rozmaicie ocenianą i komentowaną. Byłam ciekawa własnych wrażeń.

Z początku czułam się zupełnie zdezorjentowaną. Słuchałam pierwszego aktu uważnie, usiłując pochwycić jakąś nić, podziwiałam bardzo dobrą naprawdę grę całego zespołu, ale narazie, muszę przyznać, nie rozumiałam nic, — choć sztuka zaczęła mię „brać" zaraz w pierwszych scenach.

Ogarniał mię jakiś nastrój niesamowity, jakiś dreszcz grozy, czułam, że jednak coś w tem jest, coś, nad czem pomyśleć i zastanowić się warto, że jednak utwór to naprawdę niezwykłej miary, choć być może pełen błędów, wad w budowie i dziwacznych niekonsekwencyj w przeprowadzeniu tezy artystycznej.

Aż dopiero pod koniec 1-go aktu zaczęło mi błyckać jakieś światełko, a w następnych aktach już prawie wszystko wydało mi się jasne i proste. Mówię „prawie wszystko", — bo jednak pewne szczegóły pozostały już do końca niezrozumiałe, niewiem z winy autora czy słuchacza? — Ale i temu, co „po swojemu" zrozumiałam — nie chcę bynajmniej nadawać większego znaczenia. Powtarzam: tak mi się to wydaje, — czy trafiłam w problem istotny autora — nie wiem. —

Nie przesądzając ani o wartości, ani o słuszności moich poglądów — dzielę się poprostu tylko wrażeniami i myślami — tak, jak zaczęły mi się one snuć po głowie gdy słuchałam dramatu Witkiewicza.

W małym dworku dzierżawcy, gdzieś w zapadłej wiosce polskiej, umarła pani tego domu, piękna, romantyczna, uwielbiana przez otoczenie męża i dzieci — pani Anastazja. Zmarła w sposób nieco tajemniczy, niepozbawiony jakichś tragicznych powikłań i sensacyj. Ale o tem się narazie nie mówi. Śmierć tak wiele zazwyczaj przecina i kończy nieodwołalnie.

Zdawałoby się więc, że i ze śmiercią pięknej pani zakończył się jakiś ukryty dramat małego dworku. Oto już dziesięć dni minęło, jak ją pochowano na wiejskim cmentarzu sprowadzono nawet jakąś strojną kuzynkę z miasta, która ma biednym, osieroconym, przeczulonym dziewczątkom zastąpić zmarłą matkę — mąż wrócił do gospodarstwa, każdy zajęty swojemi sprawami, życie toczy się zwykłym trybem.

I tylko biedne sierotki o szarej godzinie przytulone do siebie marzą o ukochanej mamusi „co była śliczną dużą lalką naszą i tatusia", — i przy pomocy wirującego stolika, chciałyby się z nią porozumiewać...

I oto w pewień cichy wieczór letni, w zasnuwającej się szarym mrokiem, staroświeckiej bawialni — znagła ukazuje się duch zmarłej.

I teraz dopiero rozpoczyna się właściwy dramat, a raczej rozegrywa się epilog, tajemniczego dramatu, którego węzeł zadzierzgnął się uprzednio w cichym, małym dworku, jeszcze przed podniesieniem kurtyny. Powoli, powoli opada zasłona tajemnicy...

Punktem około którego skupia się cała akcja jest widmo, — widmo dziwnie realne, które je, pije, rozmawia etc. Nie ukazuje się ono jak u Szekspira ciemną nocą jedynie i tylko wybranym, ale widzą je wszyscy w biały dzień i wszyscy z niem, każdy na swój sposób — obcują!

A jednak widmo, choć tak realnie przez autora wprowadzone na scenę, — w znaczeniu materjalnem przecie nie istnieje.

To jedynie środek cóś jakby formuła, którą autor się posługuje, aby wyrazić — stosunek psychyczny poszczególnych osób do tragicznego faktu, który stał się w tym domu i o którym w głębi swej duszy każdy myślił i wciąż go jeszcze przeżywa.

Przez to rzekome zetknięcie się z widmem, które w tym domu, a właściwie w duszach tych ludzi pokutuje — unowocześnia się, wyraża to wszystko:

„Co się komu w duszy gra,
co kto w swoich widzi snach:
czy to grzech,
czy to śmiech..."

jak mówi chochoł Wyspiańskiego.

I dlatego, każdy jest w stosunku do widma inny, to jest taki, jakim jest w głębi swej podświadomej jaźni.

Przesuwają się więc przed nami kolejno idealne, jakby już nie z tego świata, subtelne, przeczulone duszyczki dziewczęt, brutalny, samczy egoizm męża pochłoniętego żądzą robienia pieniędzy i dla interesu poświęcającego nawet względy honoru, ale mającego przecież jedno chociaż wielkie umiłowanie — córki, — która to miłość — ludzkie nadaje mu oblicze, — oglądamy pod światło wulgarną, tchórzliwą duszę kochanka zmarłej, ograniczonego hreczkosieja — kabotynizm i nie szczerą pozę kuzynka poety, — płaski, trywjalny bezsens Maszejki, uosobienia pospolitość, co skrzeczy zgrzyta i bredzi, od rzeczy w najbardziej nawet tragicznych momentach, — wyrafinowaną nikczemność nowoczesnej demie-vierge bez przesądów i sentymentów, — tępą, chłopską obojętność starej sługi...

W tem ciężkiem zmaganiu się z widmem — giną tylko ci, w których piersi kryją się jakieś głębsze wartości i uczucia, a więc przedewszystkiem nie przy-

stosowane do brutalnych wymagań życia dziewczątka a także ojciec ich, który przez śmierć dzieci, jedynego, najgłębszego ukochania swego, — traci ostatnią moralną podstawę i cel swego istnienia. Na ich trupach rozplenia się wszelakie robactwo ludzkie, żerują kruki i szakale.

* * *

Sztuka Wielkiewicza, mimo swej dziwaczności chwilami wprost drażniącej i pewnych niedociągnięć, jest tworem niewątpliwego, wielce oryginalnego talentu i długo jeszcze będzie interesować i wywoływać dyskusje umiejącej myśleć publiczności. Wartości jej ani oryginalności nie umniejsza też wcale pewne, podświadome może zresztą podleganie przez autora wpływom Wyspiańskiego, w sposobie np. ujęcia widmowej postaci, stosunku jej do otoczenia i naodwrót. U Wyspiańskiego widma także są ogromnie realne, plastyczne, chodzą, siadają, rozmawiają, a ludzie traktują je naturalnie, nie przerażają się ich widokiem częstują piwem etc. (Gospodarz — Wernyhora).

A w akcie II-gim „Małego dworku" opowiadanie widma odbywa się na tle wygrywanych monotonnie przez dzieci gam fortepianowych — podobnie jak sceny w „Weselu" Wyspiańskiego na tle wiejskiej muzyki weselnej...

* * *

Wykonanie dramatu Witkiewicza na scenie toruńskiej stało na poziomie prawdziwie wysokim. Zasługa to w znacznej mierze reżysera p. Malinowskiego, który w przygotowanie tej sztuki włożył wiele rzetelnej pracy i intuicji artystycznej. Na czoło grających, zgodnie niewątpliwie z intencją autora — wysunęła się p. Szpakiewiczowa, która w roli widma dała kreację ujętą i przeprowadzoną doskonale. Rola to niezmiernie trudna, skutkiem bowiem swego realizmu — łatwo wywołać może wrażenie groteskowe. P. Szpakiewiczowa utrzymała się nadzwyczajnie w nastroju, wywołując każdem swem pojawieniem się, niesamowitym monotonnym głosem, płynnemi iście widmowemi ruchami i zaświatowem zapatrzeniem się jakby nie widzących oczu — dreszcz grozy wśród wrażliwszych widzów.

Bardzo dobrze wywiąz. się równ. ze swego zadania: p. Leliwa jako ojciec, p. Wilkoszewska i Lejczykówna w rolach osieroconych dziewczątek, p. Szyszyłłowicz — w miarę wulgarny, dorodny kochanek, jeden jedyny „normalny zdrowy człowiek, czujący odruchowy lęk przed widmem, które jest mu poniekąd jakby wyrzutem sumienia. Trafną linję jako poeta utrzymywał p. Dąbrowski. Panią Malanowicz mieliśmy sposobność ujrzeć w zupełnie odmiennej roli od tych, w jakich przywykliśmy ją podziwiać i przyznać należy, że z zadania wyszła zwycięsko dając b. interesującą sylwetkę nowoczesnej półdziewicy bez przesądów i sentymentów. Niepotrzebnie tylko zbyt silnie podkreśliła oczy, co robiło wrażenie jakby była w czarnych okularach. Doskonały typ — epizodycznej roli Maszejki, zarówno w mimice jak charakteryzacji — dał p. Kwaskowski.

W pomniejszych rolach p. Kossecka i p. Jur Dowski dostosowa się do ogólnego nastroju i artystycznej linji tego bądź co bądź interesującego przedstawienia.

Zofja Guzowska.